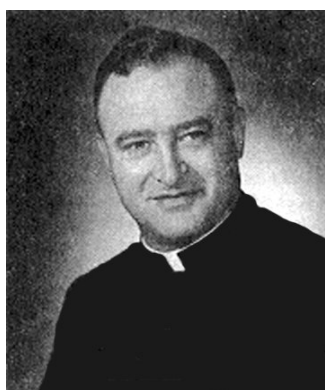


Od martwej religii ku nowemu życiu w Chrystusie

Świadectwo nawróconego księdza

Vincenta O'Shaughnessy'ego

„A tak jeżeli kto jest w Chrystusie, nowem jest stworzeniem; stare rzeczy przeminęły, oto się wszystkie nowymi stały” (2Kor 5,17).



Urodziłem się i wyrosłem w Irlandii, na gospodarstwie w West Limerick. Miłe mam wspomnienia z dzieciństwa. Jako najmłodsze z siedmiorga dzieci (trzy siostry i czterech braci) miałem mnóstwo krewnych, których mogłem odwiedzać bądź też którzy po niedzielnej mszy odwiedzali nas. W tych czasach nikt w Irlandii nie wazył się opuścić mszy w niedzielę, chyba że poważnie zaniemógł. Grzech taki uchodził za śmiertelny, grożąc piekłem, jeśliby zmarło się przed wyznaniem go na spowiedzi. Księży bardzo szanowano, czczono wręcz. Pomyślałem, że i ja chciałbym kimś takim zostać.

Jako mały chłopak co rano staczałem się z łóżka prosto na kolana – by odmówić poranne modlitwy: Modlitwę Poranną, której nauczyła mnie matka, „Ojcze Nasz”, „Zdrowaś Maryjo”. Do dziś pamiętam, że ta pierwsza zaczynała się od słów: „Jezu, przez najczystsze serce Maryi...”, co znaczyło, że chcąc dojść do Jezusa muszę szukać pośrednictwa Maryi, innej rady nie ma. Pamiętam też, że co wieczór klękałem w kuchni, aby wraz z rodziną odmawiać różaniec; najwięcej jednak czasu zajmowały dodatki do różańca. Za każdego sąsiada i krewnego, który miał jakiś kłopot, trzeba było odmawiać trzy „Zdrowaś Maryjo”, za każdego bliskiego zmarłego podobnie.

Później zapisałem się do Kolegium Św. Patryka, wyższego seminarium duchownego dla misjonarzy w Thurles w hrabstwie Tipperary. Przyjęto

mnie, i rozpoczął się sześćoletni okres przygotowań do kapłaństwa: dwa lata filozofii i cztery lata teologii dogmatycznej i moralnej oraz prawa kanonicznego i innych przedmiotów. Nie poświęcaliśmy wiele uwagi studiom nad Słowem Bożym, zadowoliwszy się pobieżnymi akademickimi uwagami na temat Biblii, bez większej wartości. Jeśli nie narodziłbym się na nowo, nigdy by mnie to nie zaciekało. Gdyby jednego dnia oczy mojego umysłu nie zostały otwarte na Słowo Boże, brak byłoby mi jego rozumienia.

15 lipca 1953 roku nastął długo wyczekiwany dzień święceń, pamiętna chwila, z wielką uroczystością dla rodziny i znajomych. Uroczystości trwały jeszcze przez następny dzień, dzień prymicji. Zjawiła się wówczas większość parafian, chcąc otrzymać pierwsze błogosławieństwo z rąk młodego kapłana.

Po trzech miesiącach wakacji spędzonych w domu udałem się z paroma innymi nowo wyświęconymi księżmi do Nowego Jorku. Każdy z nas miał objąć wikariat w takim czy innym mieście Stanów Zjednoczonych. Ja trafiłem do Kalifornii, do katedry w Sacramento, stojącej obok siedziby władz stanowych. Obowiązki kapłańskie pełniłem z zapałem, pragnąc jak najlepiej wykonywać swe powołanie, być jak najlepszym księdzem. Dano mi pokój na drugim piętrze plebanii, zwolniony akurat przez człowieka, który walczył ze słabością wśród księży dość powszechną: alkoholizmem. Kilka razy schodziłem do śmietnika na podwórzu, wynosząc puste butelki, jakie zostawił w szufladach i szafach. Ogarnęło mnie przygnębienie; sam byłem abstynentem, członkiem irlandzkiego „Pionierskiego Towarzystwa Pełnej Abstynencji”. (Naszym znakiem było metalowe czerwone serduszko wpinane w ubranie. W Irlandii nie zachęcano do picia nikogo, kto nosił taki znaczek).

Spędzałem długie godziny w konfesjonale. Nie chciałem go opuszczać, gdy ludzie czekali w kolejce, choć inni księża bez skrupułów po przepisowym czasie odchodzili nie bacząc na nic. Przez to często spóźniałem się na posiłki. Wśród kolegów stałem się przedmiotem drwin z powodu posługi dla spóźnialskich- byli to zwykle Meksykanie. Ale Bóg obdarzył mnie szczególną miłością ku tym pokornym, prostym ludziom, którzy odwzajemniali uczucie swego padre, klękając przede mną i całując mnie po rękach. Byłem wzruszony i zakłopotany.

Z katedry w Sacramento udałem się na wikariat do innej parafii, na przedmieścia. Pracowali tam księża irlandzcy. Nowy proboszcz (w Ameryce nazywamy go „pastorem”) był półinwalidą. Miał do pomocy trzech księży; wkrótce jednak odkryłem, że pełniącą obowiązki pastora jest faktycznie jego siostra, zatrudniona na etacie gosposi. To ona otwierała drzwi i odbierała telefony, prowadziła też wszystkich gości do brata, czy sobie tego życzyli, czy nie. Kuchnia była jej terenem prywatnym, jadalnia też – chyba że poproszono nas na posiłek. Zdarzyło się raz, że jeden z księży został przez gosposię przegnany z „jej kuchni” za pomocą noża do mięsa; musiał osłaniać się krzesłem, bo zostałby zarżnięty.

Przepracowałem tam pięć lat. Stary „pastor” coraz mocniej zapadał na zdrowiu. Przejmowałem po nim wiele obowiązków związanych z funkcjonowaniem parafii i – wierście lub nie – gosposia nawet mnie polubiła. Aż do końca mego pobytu nasze stosunki układały się znośnie.

Rychło wpadłem w coś, co nazywam „herezją aktywizmu”, wskutek czego mocno ucierpiało moje życie duchowe. Wciąż poświęcałem nieco czasu modlitwie przed mszą i po mszy, codziennie czytałem brewiarz (modlitwy dla duchownych). W soboty szykowałem kazania na podstawie planu dostarczonego z diecezji. Lubiłem mówić kazania, nauczono mnie zresztą oddziaływać na emocje ludzkiej duszy. Nie uczono mnie jednak posługi w Duchu dla ducha człowieka, i nie miałem na ten temat pojęcia. Umiałem natomiast wprawiać ludzi w dobry nastrój, toteż uważano mnie za dobrego księdza.

Przypominam sobie chwilę, może pięć lat po święceniach, gdy Bóg posłużył się małym dzieckiem, chcąc do mnie dotrzeć i ukazać mi drogę, lecz ja nie zwróciłem na to uwagi. Stałem akurat przed kościołem, czekając chyba na przybycie konduktu pogrzebowego, odziany w stosowne szaty liturgiczne. Wokół było pusto, jeśli nie liczyć małego, trzy- lub czteroletniego czarnego chłopca. Podszedł bliżej, obszedł mnie wokół, mierzając mnie swymi wielkimi oczami. W końcu odezwał się: „Kim pan jest? Kaznodzieją?” Obszedł mnie jeszcze raz, spojrzawszy prosto w oczy i zapytał: „A jest pan zbawiony?” Nie pamiętam, jak zareagowałem; przypominam sobie tylko, że czułem do niego litość, może nawet wstręt. Chłopczyk zadał mi najważniejsze pytanie życia – a ja nie miałem pojęcia, o czym mówi. Widać rozumiał, co to znaczy być zbawionym, Bóg zaś

chciał użyć go, aby zwrócić mi na coś uwagę. Na próżno. Gdybym tylko wtedy wiedział to, czego dowiedziałem się 12 lat później, musiałbym przyznać malcowi, że nie jestem zbawiony. Dopiero w wieku 45 lat zrozumiałem, o czym mówił, dopiero wtedy pojąłem, co to znaczy być zbawionym, na nowo narodzonym chrześcijaninem.

Poprosiwszy o przeniesienie, trafiłem między opłotki osady rolniczej. Wkrótce, w sierpniu 1968 roku, przybyły tam siostra Yvonne i siostra N. Od początku między mną a siostrą Yvonne nawiązała się nić porozumienia, jakbyśmy znali się od lat. Stosunki nasze ograniczały się do spraw zawodowych; chętnie rozmawialiśmy i wymienialiśmy poglądy na rozmaite tematy.

Raz podczas dyskusji o jakiejś książce zadałem Yvonne pytanie: „Jak mnie siostra widzi w posłudze kapłańskiej? Proszę, by była siostra zupełnie szczerą”. Odpowiedź dosłownie ścięła mnie z nóg: „Widzę, że robi ksiądz wszystko, co właściwe, że z ambony mówi ksiądz też to, co właściwe, że spełnia ksiądz rolę kapłana”. Widziała we mnie wzór kapłana. I nie miała pojęcia, że jej słowa staną się punktem zwrotnym w moim życiu. Spostrzegłem, że gram. Szekspir powiedział, że cały świat jest sceną. Stwierdziłem, że nie chcę być księdzem, który odgrywa rolę na scenie życia- że chcę co prędzej ze sceny zejść. Rozpoczęły się długie miesiące udręki.

Siostry szykowały się akurat do ostatnich zajęć religii przed feriami zimowymi w 1968 roku. Poprosiłem Yvonne o plan na następny semestr; czas był już najwyższy, a jeszcze nic mi nie dostarczyła. Poszperała w torbie, wyjęła kopertę i wręczyła mi ją mówiąc: „Nie powinnam tego robić, ale chyba powinien ksiądz wiedzieć”. Adresatką listu z maja 1968 roku była matka przełożona Klasztoru Sióstr Świętej Rodziny. Yvonne rezygnowała z członkostwa w klasztorze; ale ponieważ złożyła śluby na rok, ofiarowała się zostać do końca roku, gdyby jej natychmiastowe odejście miało sprawić większy kłopot. Stąd właśnie znalazła się w Mt. Shasta, a nie w większym zgromadzeniu w rejonie Zatoki San Francisco, gdzie miała się początkowo udać. Czytając list, który oznaczał, że siostra Yvonne nie wróci już do naszej parafii, czułem, że łzy płyną mi po policzkach. „Co się z księdzem dzieje?” –



zapytała. Wymamrotałem coś w rodzaju: „Nie wiem, to chyba szok”. Zaczęły się schodzić dzieci na ostatnie zajęcia; wyszedłem, zostawiając Yvonne z jej klasą. Przez następne kilka tygodni w ogóle jej nie widziałem; już następnego dnia wyjechała do klasztoru w Mt. Shasta.

Święta były samotne i ponure. Spadło dużo śniegu, rodząc liczne kłopoty. Czas płynął, a ja nareszcie zorientowałem się w stanie swej duszy i musiałem przyznać przed Bogiem, że po prostu zakochałem się w Yvonne. Ale ona widać nie brała pod uwagę takiego związku: byłem księdzem, a przecież tak ceniła moją kapłańską posługę. Na pewno nie chciała obciążać sobie sumienia wyciągnięciem mnie ze stanu kapłańskiego.

Cierpiałem, wołając do Boga o wskazanie drogi. Czy powinienem porzucić kapłaństwo? Czy raczej nie? Czy mam prawo przerwać proces wewnętrznych zmian, który tak pięknie opisała Yvonne? Postanowiłem wziąć byka za rogi i zaprosić na misje do parafii najlepszego księdza-misjonarza: niech ożywi duchowo i mnie, i wiernych. Misje odbyły się w pierwszy tydzień Wielkiego Postu, ale były zaprzeczeniem dobrego wzorca. Kazania dudniły pustką, pozbawione głębszej treści i zapału dla Boga. Miały „pozór pobożności”, ale nie miały „jej mocy” – jak pisze apostoł Paweł: „Którzy mają kształt pobożności, ale się skutku jej zaparli; i tych się chroń” (2Tym 3,5).

Zdecydowałem się. Napisałem do Yvonne, żeby powiedzieć jej o moim ostatecznym postanowieniu i poprosić o spotkanie i rozmowę. Zgodziła się, i wybraliśmy się na kolację – jak na zawsze zapamiętam – do Concord Inn w jej rodzinnym Pleasant Hill. Próbowałem ją przekonać, że porzucam kapłaństwo bez względu na to, czy z naszej znajomości coś wyniknie. Poczułem, że muszę zapytać: „Yvonne, zostawiłaś zakon z własnej woli – czemu ja nie mogę zostawić kapłaństwa?” Zrozumiała, że traktuje mnie niesprawiedliwie, i odparła: „Przepraszam, źle robię, że namawiam cię do pozostania. Ale jeśli zdecydujesz się wyjść, musisz to zrobić bez względu na mnie. Musisz wiedzieć, że taka jest wola Boża”.

Napisałem do biskupa, informując o swym postanowieniu i prosząc, by zwrócił się do Rzymu o dyspensę; chcieliśmy się pobrać w kościele katolickim. Sprawę przekazano archidiecezji San Francisco. Znalazłem księdza, który na dwa miesiące miał przejąć moje obowiązki w parafii. Ze

skromniutkim bagażem upchanym na przyczepce pojechałem parafialnym samochodem w rejon Zatoki San Francisco. Spotkałem się z ordynariuszem diecezji Sacramento i zapewniłem, że zaraz odeślę samochód. Poprosił o dowód rejestracyjny, napisał coś na nim i oddał mi go ze słowami: „No, Vince, niech ci dobrze służy. Przyda ci się”. Nigdy nie zapomnę tego szczodrobliwego gestu.

Przyjechałem do Oakland. Yvonne wynajmowała mieszkanie nad jeziorem Merritt; wprowadziłem się tam, a ona wyprowadziła się do matki w Pleasant Hill. Mieszkałem sobie spokojnie, zapomniany przez świat, dochodząc do siebie po burzliwych przejściach związanych z moją ostateczną decyzją.

Dnie upływały na modlitwach o pracę i na szukaniu jej. Jednego dnia znajomy z Biura Pracy w Alameda, były dominikanin, dał mi ofertę pracy z hrabstwa Colusa. Wypełniłem ją, udałem się na rozmowę wstępną i dostałem posadę.

Yvonne i ja pobraliśmy się i przenieśli do miasta Colusa. Nadeszła dyspensa i nasze małżeństwo zostało pobłogosławione przez kościół katolicki. Yvonne dostała posadę dyrektorki Bractwa Doktryny Chrześcijańskiej przy naszej parafii. Oboje byliśmy oddanymi katolikami i takimi pragnęliśmy na zawsze pozostać. Lecz po każdorazowym powrocie z mszy czuliśmy się wyjałowieni, spragnieni i złaknieni obecności Boga i pożywej stawy duchowej. Nie mogliśmy tego znaleźć. Bóg dał nam pracę, piękny dom, a nawet śliczną córeczkę Kelly Ann. Byliśmy szczęśliwi i wdzięczni Mu za całą Jego dobroć. Ale pragnęliśmy z Nim głębszej, pełniejszej więzi.

Raz ktoś dał nam książkę o księdzu, który narodził się na nowo z Ducha Świętego. Było to dla mnie coś nowego. Książka opisywała jego życie i spotkanie z Bogiem. Niedługo potem zostaliśmy z Yvonne zaproszeni na spotkanie, gdzie jakaś siostra zakonna podzieliła się świadectwem działania zbawczej mocy Bożej i opowiedziała o swoim nowym narodzeniu. Poczułem, że Pan dotyka mego serca. Gdy poproszono o podejście do przodu tych, którzy chcieliby przyjąć Pana jako swego Zbawcę, kto wybiegł jako pierwszy? No jasne! Vince i Yvonne. Modliliśmy się, aby Pan królował nad każdą dziedziną naszego życia; od razu odczuliśmy różnicę. Myślę, że właśnie wtedy narodziłem się na nowo,

otrzymując pewność zbawienia i pokój płynący z przekonania, że moje grzechy zostały odpuszczone. Nasze życie modlitewne stało się głębsze i bardziej rzeczywiste. Biblia – Słowo Boże- ożyła i nabrała sensu, z zapalem czytaliśmy ją i rozważali.

Zaczęliśmy chodzić na spotkania biblijne i coraz bardziej zagłębiać się w Słowo Boże. Aż spostrzeżliśmy, że wiele rzeczy, których nas jako katolików uczono, nie zgadza się z Pismem Świętym. Można powiedzieć, że kościół rzymski głosi ewangelię uczynków: zbawienie osiągamy własnym wysiłkiem i nasz własny wysiłek owocuje dobrym życiem; należy odprawiać pokutę za grzechy, tak jakby Jezus Chrystus nie zapłacił za wszystko swoją krwią na krzyżu Golgoty. W Liście do Efezjan 2,8-9 napisano jednak wyraźnie, że zbawienie jest darem Bożym otrzymywanym przez wiarę: „Albowiem łaską jesteście zbawieni przez wiarę, i to nie jest z was, dar to Boży jest; Nie z uczynków, aby się kto nie chlubił.”

Pojęliśmy, że katolicy powinni odejść od błędów Rzymu, i uczyniliśmy to. Pan Jezus błogosławi nam, a my staramy się Mu służyć. Nigdy przedtem nie byliśmy tak szczęśliwi. Pan obdarzył nas dwiema pięknymi córkami; otwiera wiele drzwi, abyśmy mogli służyć Słowem Bożym i modlić się za innych.

Za wszystkich, którzy czytają to świadectwo, modlimy się, by poznali Pana i moc Jego zmartwychwstania. Szukajcie Jezusa całym sercem! Uznajcie, że tylko On jest Zbawcą. Umarł, byście mogli żyć; jak głosi Jego Słowo: „sprawiedliwy za niesprawiedliwych, aby nas przywiódł do Boga” (1P 3,18).

Vincent O'Shaughnessy, nawrócony ksiądz

Po nawróceniu Vincent O'Shaughnessy pełnił funkcję pastora w Paradise Christian Center w Kalifornii w Stanach Zjednoczonych. Po przekazaniu obowiązków innej osobie mógł swobodnie służyć Panu na szczeblu krajowym i międzynarodowym. Do 2005 roku prawie co roku odbywał podróże kaznodziejskie po swojej ojczyźnie, Irlandii. W swojej książce

„The Truth that Sets Us Free” (Prawda, która nas wyzwala) szczegółowo opisuje, jak on i jego żona Yvonne znaleźli drogę do zbawienia.

(Przekład całego świadectwa: Aleksandra Czwojdrak i Meciej Wierszyłowski. Opublikowane w książce „Daleko od Rzymu...” (Bennett/Buckingham), Warszawa 2004. Tekst w załączniku został przetłumaczony z języka niemieckiego za pomocą DeepL.com (wersja darmowa).

Wykorzystano polskie tłumaczenie Biblii zatytułowane „Biblia Gdańska (1881)”.